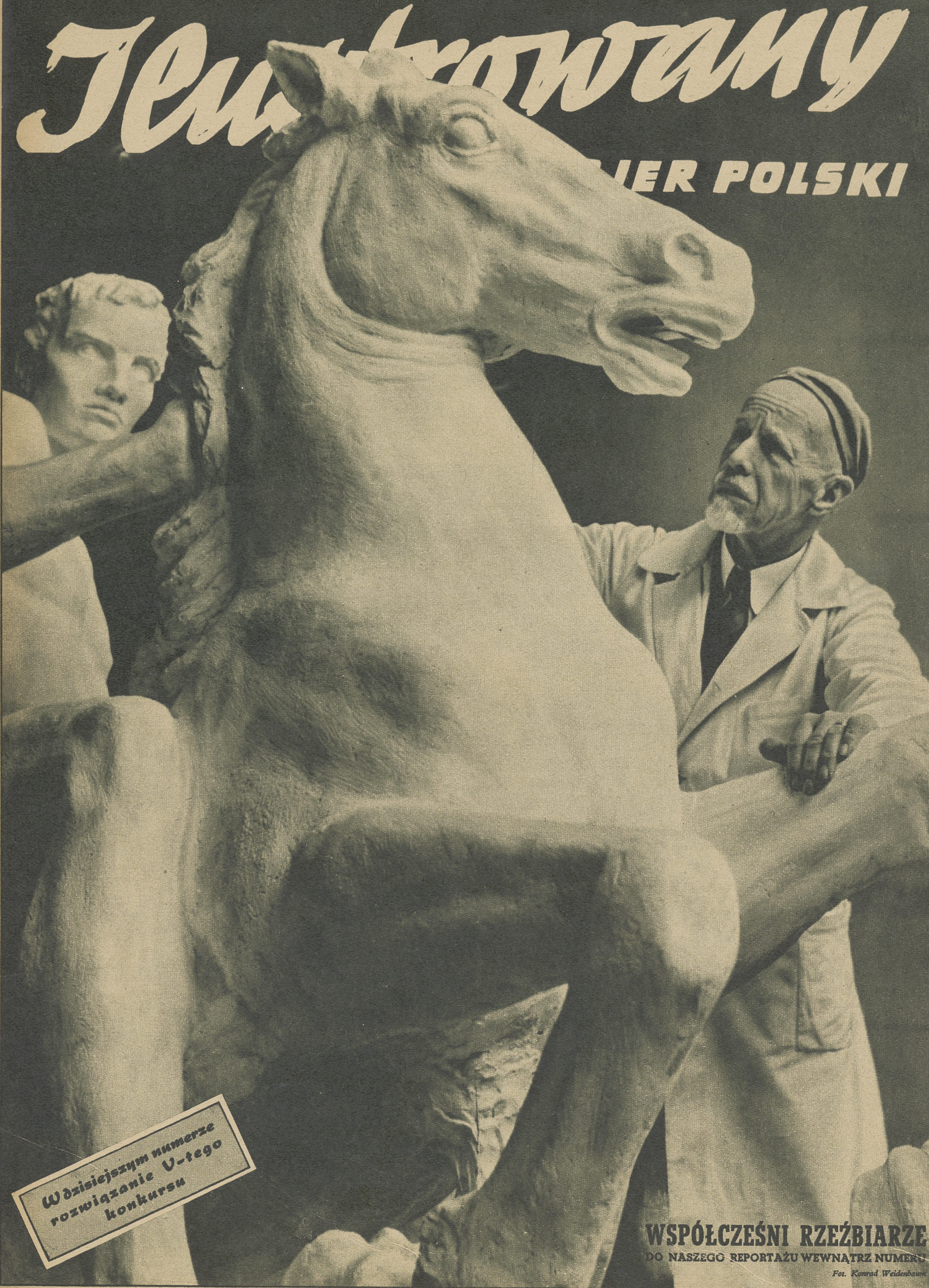
Nr. 5 Rok 4 Kraków, dnia 31 stycznia 1943. 40 gr.

Ilustrowany Kurier Polski



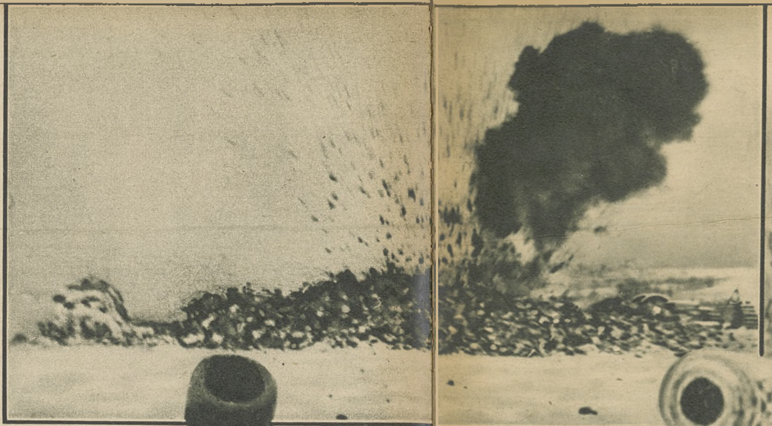
W dzisiejszym numerze rozwiązanie V-tego konkursu

WSPÓŁCZEŚNI RZEŹBIARZE

DO NASZEGO REPORTAŻU WEWNĄTRZ NUMERU

Fot. Konrad Weidenbaum

CIEŻKA BROŃ W BITWIE ZIMOWEJ



GRANAT PĘKA
Wysoko rozpryskują się kamienie, ziemia i odłamki granatu, gdy dobrze wymierzony pocisk niemieckiej ciężkiej artylerii trafia swój cel.



DOWÓDCA ODDZIAŁU
obserwuje z napięciem przez lornetkę ruchy bolszewickie na polach przed frontem



GIGANT
Groźnie do góry sterczy paszcza tego działa o długiej lufie stojącego na pozycji, a należącego do niemieckiej artylerii morskiej.

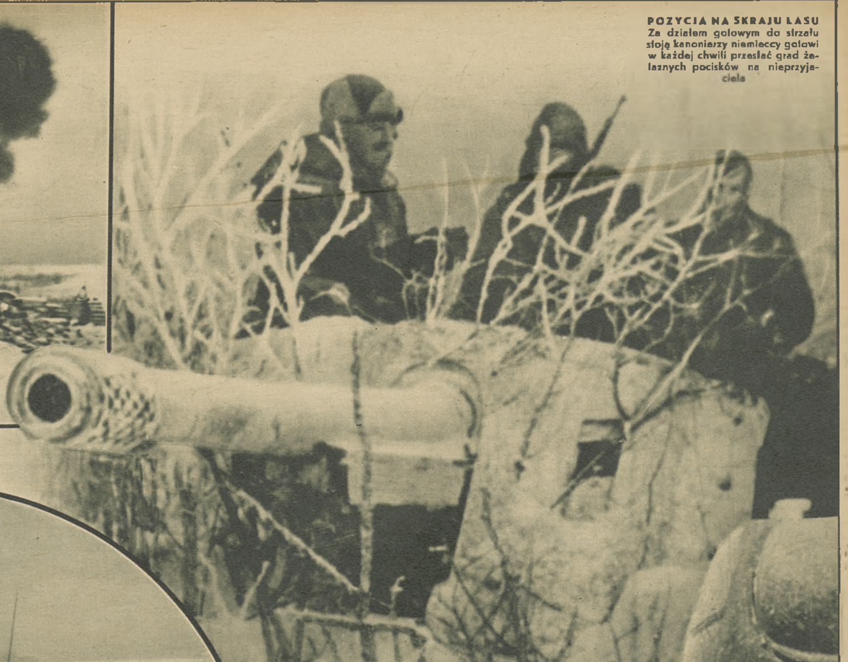
Fot. PK Gerlach, Schultze, Maltry PBZ, Maltry Sch. ϟϟ PK Büschel PBZ 2, Fritsch Sch.



GRENADIERZY PANCERNI IDĄ DO ATAKU
Niemieccy grenadierzy pancerni jadą przeciw bolszewikom. Siedzą oni na sunących czołgach i obserwują uważnie przedpole, by w każdej chwili móc zająć bojowe stanowisko i rozpocząć walkę.



NA LINII BOJOWEJ
Niemieckie czołgi osiągnęły linię ognia. Grenadierzy, którzy na nich tu przyjechali zsiedli z czołgów i ruszają obecnie pieszo wprost na nieprzyjaciela



POZYCJA NA SKRAJU LASU
Za działem gotowym do strzału stoją kanonierzy niemieccy gotowi w każdej chwili przesłać grad żelaznych pocisków na nieprzyjaciela



PRZED ZWYCIĘŻONYM NIEPRZYJACIELEM
Niemiecki grenadier pancerny opuszcza rów strzelecki, przed którym leży zniszczony czołg sowiecki.



Na lewo:

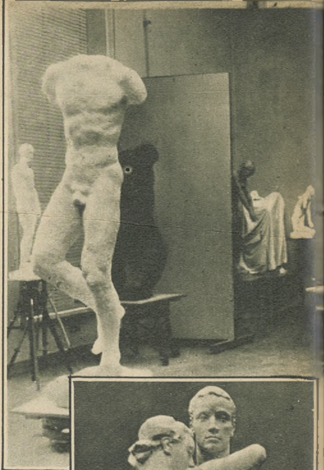
PRACA NAD DZIEŁEM POSTĘPUJE NAPRZÓD

Mistrz bada krytycznie model, który stworzył z gliny, aby potem odlać go w brązie. Tu należy jeszcze coś niecoś zmienić i jeszcze coś wygładzić, aż ostatecznie praca będzie się przedstawiała w ten sposób, jak ją poprzednio artysta widział oczami swej twórczej wyobraźni.

Na prawo:

ARTYSTA WŚRÓD SWYCH DZIEŁ

Fragment pracowni Georga Kolbe. Rysunki i szkice z gliny i rozpoczęte rzeźby lub ukończone już postacie z gipsu świadczą o bogatej, płodnej twórczości i o fantazji, która wciąż szuka nowych dróg.



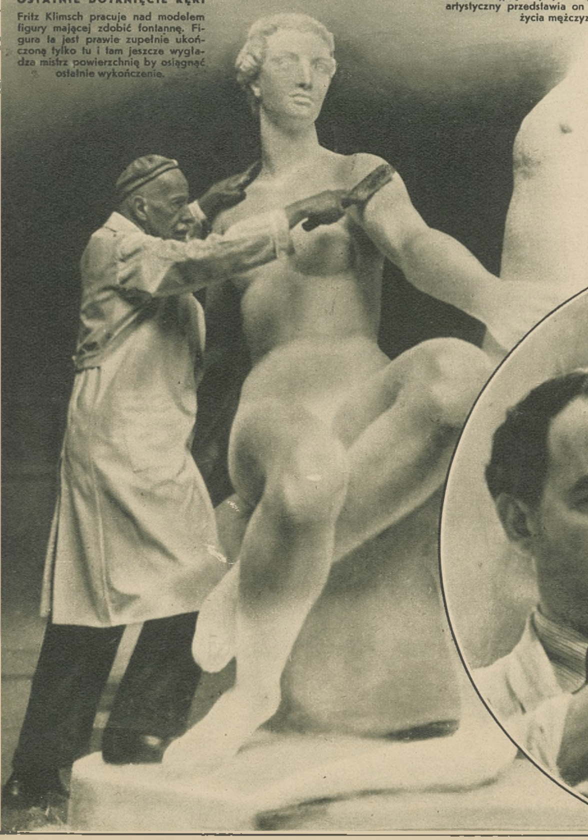


WSPÓŁCZEŚNI RZEŹBIARZE

U dołu:

OSTATNIE DOTKNIĘCIE RĘKI

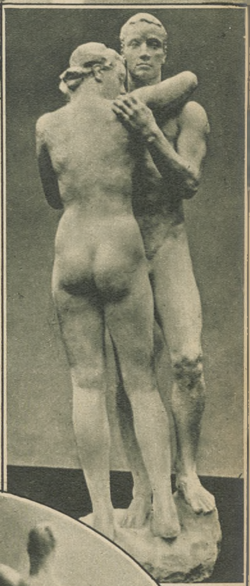
Fritz Klimsch pracuje nad modelem figury mającej zdobić fontannę. Figura ta jest prawie zupełnie ukończoną tylko tu i tam jeszcze wygładza mistrz powierzchnię by osiągnąć ostatnie wykończenie.



Na prawo:

MARS I VENUS

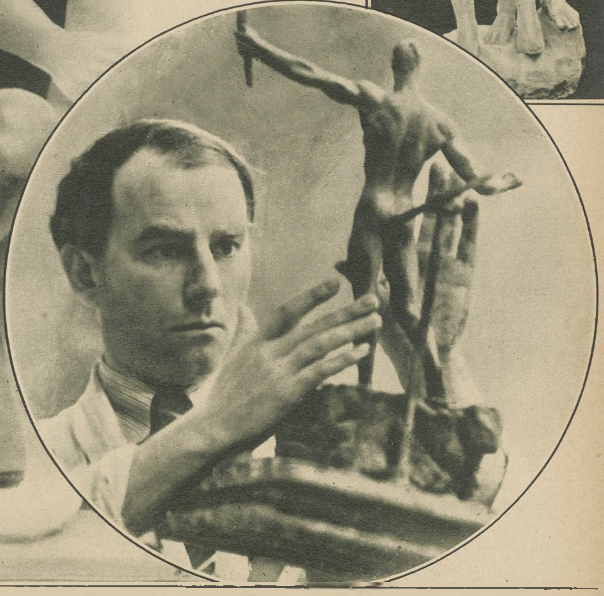
Jedno z najpiękniejszych arcydzieł Georga Kolbe. W sposób wysoce artystyczny przedstawia on tu ideę pełnego energii i ochoty do życia mężczyzny i kochającej kobiety.



U dołu:

PIERWSZY SZKIC

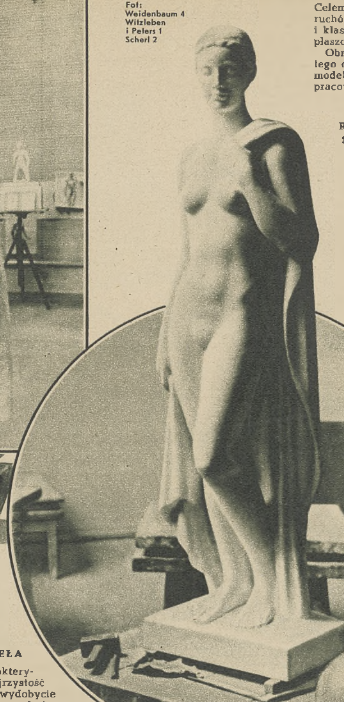
Podobnie jak malarz notuje sobie w małym szkicowniku swe pierwsze pomysły malarskie, rzeźbiarz modeluje na małej figurce z gliny ruch i postawę dzieła (Arno Breker).



Na prawo:

DZIEŁO JEST UKOŃCZONE

Postać tej dziewczyny wykutej z marmuru promienieje tą szlachetną pięknością i harmonią, które cechują wszystkie dzieła Fritza Klimscha.



TRZEJ MISTRZE I ICH DZIEŁA

Rzeźbiarstwo naszych czasów charakteryzuje klasyczna prawie czystość i przejrzystość linii. Za ideał postawiło ono sobie wydobycie w rzeźbie piękna ludzkiej postaci. By uzyskać ten cel nie szuka rzeźbiarstwo żywych namiętnych ruchów, jak np. sztuka rzeźbiarska w czasach baroku, lecz spokojnej postawy figur.

Do najpowazniejszych reprezentantów nowoczesnego rzeźbiarstwa należą trzej rzeźbiarze, których dzieł reprodukcje podajemy obok. Najstarszym z nich jest obecnie 72-letni profesor Fritz Klimsch. Nawiązuje on przy pomocy swych dzieł do tradycyj wielkiej klasycznej sztuki. Rzeźby jego odznaczają się skończoną pięknością i pełne są szlachetnego spokoju przejawiającego się w harmonii ich ruchów i postawy. Wszystkie te zalety rzeźb Klimscha są jeszcze podkreślone przez starannie opracowaną i wygładzoną powierzchnię materiału użytego do rzeźby. Dlatego też Fritz Klimsch jest przede wszystkim rzeźbiarzem dzieł nadających się na pomniki i fontanny, które mają stanowić kosztowną i piękną ozdobę parków i plant.

Podczas gdy Klimsch dąży do ideału dekoracyjnej zewnętrznej piękności prof. Georg Kolbe (urodzony w r. 1877) daje w swych dziełach nie tylko doskonałą, zupełnie wykończoną formę lecz zarazem odtwarza uczucia postaci rzeźbionych przez siebie. W jego rzeźbach objawia się wewnętrzne napięcie, siła aktywna, która promieniuje na zewnątrz. Z tego powodu artysta ten tworzy nie tylko pojedyńcze figury, lecz również często grupy złożone z kilku, najczęściej dwóch osób. Figury te przez wspólny rytm postawy i ruchu tworzą jedność.

Do młodszej generacji niż wymienieni wyżej dwaj artyści rzeźbiarze należy profesor Arno Breker (urodzony w r. 1900).

Fot: Weidenbaum 4 Witzleben i Peters 1 Scherl 2

Celem jego dążeń artystycznych jest zarówno wydobycie piękności ludzkiego ciała i jego ruchów jak i ożywienie ich siłą, wolą i witalnością człowieka równie ważnymi dla artysty jak i klasyczna harmonia. Dzięki tym walorom stawia się jego figury przed gładkimi, prostymi płaszczyznami murów i surowymi, prostymi słupami nowoczesnych reprezentatywnych budowli.

Obrazy obok zamieszczone przedstawiają kilka dzieł tych trzech artystów rzeźbiarzy, a prócz tego dajemy fragmenty ich pracowni. Widzimy jak rzucają pierwszy szkic — jak opracowują model i w końcu jak przyglądają się ukończonemu już swemu dziełu, które niezadługo opuści pracownię i pójdzie w świat zachwycać ludzi swą pięknością.

JAK POWSTAJE DZIEŁO SZTUKI

Rozwój dzieła sztuki począwszy od pojawienia się go jako idei w umyśle mistrza aż do gotowej, realnej postaci posągu jest bardzo długi i przechodzi różnorodne stopnie, a to stosownie do materiału, w którym się je realizuje i stosownie do celu, dla którego jest ono przeznaczone. Jakkolwiek jest wiele materiałów nadających się do sporządzania rzeźb, jak: ołów, granit, wosk, kość słoniowa, złoto, piaskowiec, gips, terakota, a nawet węgiel kamienny i bloki soli, to jednak najczęściej wykuwa się je w marmurze, brązie lub rzeźbi w drzewie. Rzeźbiarz, który otrzymał zamówienie, albo sam powziął pewną ideę — utrwala swą myśl w szkicu. Jedni artyści kreślą ten szkic podobnie jak malarz albo rysownik na papierze pędzlem, piórem, albo ołówkiem, inni znów lepią natychmiast mały model z gliny i tak długo opracowują aż idea w modelu dojrzeje, aż całkiem jasno w nim się wyrazi. Teraz dopiero sporządza zazwyczaj mistrz drugi model z gliny albo z gipsu tej wielkości, jakiej gotowe dzieło sztuki ma być wykonane. Przy bardzo wielkich figurach wysokich na 6, 8 lub 10 metrów, a nawet większych; jest nawet wskazane sporządzić więcej modeli w różnych wielkościach, by wypróbować ostateczne wrażenie. O ile dzieło wykonywa się w marmurze, przenosi się wymiary modelu na blok kamienny przy czym rzeźbiarz młotkiem i dłutem odbija cały zbędny materiał tak długo, aż posąg wykuje. Niektórzy artyści pracują odrazu w kamieniu bez modela. Jeżeli zaś dzieło ma być wykonane w brązie — wtenczas sporządza się z modelu gipsowego formę wklęsłą. W tym celu odciska się najczęściej model w drobnoziarnistym piasku. Ten odcisk sporządzony przy pomocy skomplikowanych zabiegów nazywa się formą. Większe figury odlewa się przy pomocy mniejszej, w środku umieszczonej formy tak, by wewnątrz były puste, a to dlatego aby ich ciężar zmniejszyć i aby zaoszczędzić na materiale. Na ostatek montuje się gotowy odlew, który często składa się z większej liczby poszczególnych części w jedną całość, czyści się powierzchnię odlewu i wygładza.

PIERWSZA STRONA DZISIEJSZEGO NUMERU

przedstawia zdjęcie Fritza Klimscha pracującego nad rzeźbą konia. Rzeźba ta ma zdobić fontannę jednego z berlińskich parków.

U dołu:

MISTRZ I JEGO DZIEŁO

Fritz Klimsch przed jednym ze swych najnowszych utworów „Morze". Miękkie, owalne linie postaci w postawie półleżącej przypominają nam poruszenia fal, a spokój jej podstawy ilustruje odwieczną ciszę oceanu.





Budynek Instytutu Behringa we Lwowie przy ul. Zielonej.



Docent Dr. R. Haas, pokazuje Generalnemu Gubernatorowi Dr. Frankowi maszynę do przekrojów mikroskopijnych.

Walka z tyfusem



Szczepionkę uzyskuje się z treści jelit wszy, sztucznie zarażonych tyfusem. Na zdjęciu widzimy naczynia, w których odbywa się segregacja wszy.



Obok:
Laborantka bada pod mikroskopem zawartość szczepionki przeciwtyfusowej.

Instytut Behringa we Lwowie, który został otwarty z początkiem grudnia ubiegłego roku, jest nowym symbolem niezmordowanych wysiłków skierowanych ku zwalczaniu tyfusu plamistego. Każda wojna w niezwykłej mierze sprzyjała rozszerzaniu się chorób zakaźnych. Już w starożytności powracające oddziały Aleksandra Wielkiego zawlokły trąd do Europy. Zalew mongolski w wiekach średnich przyniósł z wnętrza Azji dżumę, a najstraszniejsze choroby weneryczne szerzyły się od niepamiętnych czasów najsrożej po wojennych szlakach. Tyfus natomiast zagraża kontynentowi europejskiemu od wschodu. W latach 1918—1921 panowała w Rosji straszliwa epidemia tyfusu plamistego, która pochłonęła blisko 10% ludności. Roznosicielką tej choroby jest wesz odzieżowa. Środków leczących na razie nauka jeszcze nie zna, natomiast dzięki owocnej pracy uczonych niemieckich z prof. Weiglem na czele, zdobyła medycyna niezawodne sposoby uchronienia się przed nią, mianowicie szczepionkę ochronną, którą wytwarza się dla terenów wschodniej Europy o Instytucie Behringa we Lwowie. Szczepionka uodparnia organizm i daje absolutną gwarancję, że osoby, dotknięte chorobą, powrócą do zdrowia bez większych szkód.



Szafa, w której doprowadza się jaja do stanu wylęgu.



Obok:
Szczepionkę uzyskuje się także z żółtka jaja kurzego, znajdującego się w stanie wylęgu.

Fot. Rosner

PRZYPRZĄG

L. BUDAK

tłumaczył z chorwackiego Podmajerski

— Nie chce mi się jeść — rzekł po chwili Jerko, przeciągnął się, wstał i wyszedł przed dom.

Długo poglądał w stronę Velebitu i uparcie nadsłuchiwał, czy nie posłyszy choćby jakiego głosu.

Cisza jednak panowała w koło i ciemno było jak w rogu.

— Bóg raczy wiedzieć, co to będzie — westchnął sam do siebie i poszedł ku wsi.

— Szymonowie byli właśnie przy wieczerzy, gdy zaszedł do nich.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Jesteście?! — rzekł wszedłszy do kuchni.

— Na wieki wieków, Jerko! Dopierośmy zaczęli. Przysiądź się — odpowiedziało równocześnie kilka głosów.

— Nie — odrzekł. — Wieczerzałem już. Ale, Szymonie, wyjdźcie-no na chwilę przed chałupę.

Szymon obliznął się, otarł wąsy ręką i wyszedł.

— Nie ma jeszcze twojej Marysi? — spytała kuma Anna, żona Szymona.

— Nie ma jeszcze, kumo. Pewnie będzie nocować u gajowego.

— Jeszcze jej nie ma?!

— Bóg wie, co jest z nią!

— Żeby się jej tylko co nie przygodziło! — w ten i podobny sposób jedno przez drugie zasypywali Jerka domownicy Szymonowi. Każdy chciał coś powiedzieć, każdy o coś zapytać i wszyscy się dziwili, a kuma Anna w zamyśleniu kiwała głową.

— Wiecie, Szymonie — rzekł Jerko, gdy się oddalili nieco od drzwi — boję się, że się coś złego stało.

— A... Bóg wie... — odparł Szymon i spojrzał w stronę Velebitu.

— Kraljica już dość ludzi zjadła... Ale może Bóg da... On wszystko może, ale... nie przeczuwam nic dobrego.

— Ja nie wiem — odparł Szymon. — Myślisz, żebyśmy się wybrali naprzeciw niej? Co?

— No tak, myślałem, żebyś mi dał jednego konia i żeby dwóch od ciebie pojechało ze mną. Bóg wie...

— Niby... nie bronię — oblizнął się Szymon — ale ciemno jest i burza... Pozrzuca was z drogi i pozabijacie się i wy i konie... Ale, ...ja nie bronię. Jak chcesz — Ive! — zawołał na najstarszego syna.

— Co, tato?!

— Nie pytaj, tylko wyłaź! — krzyknął Szymon gniewnie.

— A to jestem! — rzekł Ive stanąwszy przed nimi.

— Ja sam nie wiem, co robić — mówił Jerko.

— Jerko powiada, żebyście ty i Antek jechali z nim.

— Ja sam nie wiem, co począć — powtórzył Jerko.

— Dlaczego by nie — rzecze Ive, — ale ciemno jest. Nie potrafimy nic zrobić, a kiedy jej nie ma dotąd, to pewnie nie jest jeszcze po tej stronie Halana.

— No, to możemy jechać po północy — rozmyślił się Jerko.

— A tak, tak! — rzekł szybko Szymon. — To co innego.

— Tak to możemy.

— Tak, tak — powtórzył Szymon. — Tak to mogą z tobą jechać wszyscy sześciu.

— Nie, nie trzeba — odparł Jerko. — Wystarczą Ive i Antek.

I rozeszli się.

— Gdzież byłeś? — spytała go żona, gdy wrócił.

— E, ... nigdzie. Popatrzyłem na bydło... Leży spokojnie i przeżuwa...

— O, święta Bogarodzico! — wzdychała Kata i znowu milczała.

Jerko co chwilę wychodził przed chałupę i znowu cicho powracał.

— Nie ma jej?

— Nie ma — odpowiada i znowu milczy.

— O, święta Bogarodzico! O, święty Mikołaju podróżniku! ...

V.

Jerko ciągle wstawał w nocy i wyglądał na pole. Wychodził powoli i ostrożnie, żeby nie budzić Katy. Lecz ona za każdym razem, gdy wracał do łóżka, boleśnie szeptała:

— Nie ma jej?

— Nie ma. Gdzież by teraz, głuptasie, mogła przyjść! Bądź cicho i śpij ... Zdawało mi się, że coś spadło przed domem, więc wyszedłem...

— O, Najświętsza Bogarodzico ... — szeptała Kata.

Już przed północą Jerko wstał i począł się ubierać.

— Gdzie idziesz, Jerko? — spytała Kata.

— A ... Idę popatrzeć ... Oporządź bydło i przygotuj wszystko ... Muszę iść ...

— Och, ja nieszczęsna! ... O, mój Boże kochany ... — jęknęła Kata przez płacz.

— Nie bluźnij, Kato! Bądź rozsądna. Bóg da, że jej nic nie będzie ... Ale tak ... idę naprzeciwko niej ...

Kata też wstała i ubrała się.

Jerko poszedł i przywołał synów Szymona.

Zjedli coś wszyscy razem u Jerka, a potem przygotowali się do drogi.

Cały ten czas nie wspomnieli nawet o Marysi. Wystrzegali się rozmyślnie ze względu na Katę, która nieustannie wzdychała i dławiła się łzami.

Siedli na wóz.

— Z Bogiem, Kato! — rzekł Jerko i popędził konie.

— Bądźcie z Bogiem ... O, ja nieszczęsna do samego grobu ... — zalamentowała Kata głośno.

Jerkowi na te słowa dwie gorące łzy spłynęły po twarzy, lecz zaraz sam się za to skarcił.

Pogoda była dość zrośna. Burza znacznie popuściła, a chmury rozpłynęły się po niebie i ściemniały. Jerko poganiał konie szybko. Bił je niemiłosiernie i nieustannie szarpał lejcami. Zdawało mu się, że mu lżej będzie na duszy, gdy szybko będzie ciął zimne powietrze, gdy konie z pośpiechem będą pędziły naprzód. Miał uczucie, jak gdyby widział Marysię w ostatnich drgawkach wyciągającą ku niemu ręce i błagającą go i zaklinającą, by śpieszył ku niej, by jej dopomógł, by ją ratował.

Skoro tylko ten obraz mignął Jerkowi przed oczyma, śmignął konie ponownie i jeszcze mocniej szarpnął uzdami. Tylko naprzód, tylko prędko! ...

Nie przemówił ani słowa do swych towarzyszy, a każdy z nich bał się także coś wspomnieć.

Kata usiadła obok ogniska, podtrzymywała ogień i nieustannie ocierała łzy. Kilka razy kładła się na łóżko i znowu wstawała, wychodziła przed chałupę, przystawała chwilę pod lipą, zapłakanymi oczyma popatrywała w stronę Halana i znowu powracała do ogniska.

Zaczęła odmawiać różaniec. Doszła ledwie do drugiego dziesiątka i już się pomyliła, zapomniała, że się modliła i gdzie przestała. Przed oczyma stanęła jej owa chwila, gdy jej jedynak żegnał się z Marysią. Ze wszystkimi rozstawał się z uśmiechem na ustach, tylko z Marysią gdy się żegnał, rozpłakał się. I powiedział: „Mamo, uważajcie mi na nią”...

— Jak gdyby przeczuwał ... — pomyślała Kata i zaczęła głośno jęczeć i lamentować.

Zaczęło już i świtać.

Kata wzięła skopce i podoiła krowy.

Tymczasem Jerko zbliżał się już do Halana. O wschodzie słońca zapukał do okna gajowego.

— Kto tam? — zapytał z wewnątrz gruby głos.

— Stevo, to ja. Otwórz no.

— Kto?! — spytał gajowy ponownie i podszedł do okna.

— Ja, Jerko!

— Jerko? — Co dobrego sprowadza cię tak rano?

— Czy moja Marysia nocowała u ciebie?

— Twoja Marysia?!

— No! Jeszcze przedwczoraj poszła z przyprzęgiem jakiemuś gospiczaninowi i nie ma jej dotąd.

— I jeszcze jej nie ma?! — zadziwił się gajowy. — Powiadam ci: od wczoraj nikt z dołu nie przejeżdżał.

— W takim razie z Bogiem! — rzekł Jerko i poszedł ku wozowi a przed oczyma mu się zamgliło.

— Czekaj! Jadę i ja — zawołał gajowy i począł się szybko ubierać.

Za chwilę był przy nich.

Siedli i popędzili ku granicy.

— Myślę, że jest jeszcze pod Progiem — rzekł gajowy.

— Bóg jeden wie, gdzie jest i co z nią słychać — odparł Jerko.

Z lodowatym zimnem w sercu oczekiwała Kata co chwila powrotu wyprawy. Jeśli nocowała na Halanie, to muszą być z powrotem w domu najpóźniej w dwie godziny po wschodzie słońca.

Gdy minęły te dwie godziny i jeszcze dwa razy po dwie godziny, usiadła Kata pod lipą i oddała się najczarniejszym myślom. Nie mogła już więcej płakać. Serce jej objął jakiś luty ból i beznadziejne cierpienie. Wydawało się jej, że doszła na Kraljicę i tam znalazła Marysię martwą i skostniałą i prawie na cały głos zalamentowała.

— Kato, siostro moja, nie trać nadziei — pocieszała ją kuma Anna.

— Uspokój się, moja złota — mówiła druga i wnet zaczęła się zbierać koło niej cała wieś, jak gdyby Marysia leżała na marach.

Nie dała się nijak pocieszyć. Objął ją lęk i strach. Kości jej się trzęsły, członki drętwiały i krew w żyłach ścinała.

Daremnie ją uspokajały, daremnie mówiły jej najsłodsze słówka — ona była przekonana, że nigdy już Marysi żywej nie zobaczy.

I Jerka też opanował wielki ból, gdy się dowiedział, że jej nie było u gajowego. Nie chciało mu się wierzyć, żeby tak długo pozostała pod Progiem. Osobliwie nie teraz, gdy burza zupełnie ustawała. Jednak z mrozem w duszy zdrętwiałymi oczyma patrzył daleko przed siebie na drogę, spodziewając się, że przecież jednak mogłaby nadejść, że mogliby ją spotkać. Równocześnie z największą uwagą oglądał każdy krzak, każdy kamień i każdą ciemną plamę opodal drogi.

— Czy to nie ona tam niżej?! — rzekł i zadrżał cały.

— Gdzie, gdzie? — pyta gajowy.

— Patrz, tam za zakrętem. Przy tamtym drzewie. Coś się rusza — tłumaczył Jerko i podciął konie.

— Ja nic nie widzę — dodał Ive Szymonów, wytrzeszczając oczy ku temu zakrętowi i ku temu drzewu.

— O, o! Jest człowiek i zwierzę! — wykrzyknął Jerko i uśmiechnął się. — Jest!

— E, nie! Jerku, to nie ona — rzekł gajowy. — To tylko krzak.

— Przecież nie jestem ślepy. Jest! — zawołał Jerko i popędził konie z całej siły.

— To krzak, stryku Jerko! — rzekł Ive.

— Nie mów. To nie krzak — odparł Jerko i podciął konie zwróciwszy całą uwagę na tę czarną plamę na zakręcie drogi obok wielkiego drzewa.

— Przecież to człowiek i zwierzę ... — mówił Jerko.

Gdy zauważył, że bez ruchu wszystko to znajduje się na tym samym miejscu, poczęła go nadzieja opuszczać. Milczał jednak, nie chciał nic powiedzieć i z całej siły dusił w sobie ów głuchy głos zwątpienia.

— To człowiek, człowiek ... — powtarzał od czasu do czasu więcej aby się utrzymać w przekonaniu, niż żeby wmówić to towarzyszom.

Dla gajowego było to całkiem oczywiste, że nie jest to nic innego, jak tylko zwyczajny krzak bukowy, lecz milczał, nie chciał mu mącić pięknego oczekiwania.

— E, jeśli to nie jest chrzczone stworzenie, to w takim razie nawet wcale go nie ma — rzecze Jerko. — O, teraz się rusza.

Reszta milczała.

Im bliżej podjeżdżał, tym cięższej było Jerkowi na duszy. Doszedł już do przekonania, że jednak nie będzie to żadne żywe stworzenie.

— Nie wiem ... — zaczął, gdy już byli całkiem blisko. — Oczy mnie mylą.

W duszy poczuł jakąś pustkę ciężką i gorzką jak gorczyca.

— O, to krzak ... — powtarzał.

Ponownie objął go większy strach i zaczął jeszcze baczniej spoglądać na drogę.

Gdyby o świcie była ruszyła spod Progu, musieliby już się spotkać.

Gdy minęli ów krzak na zakręcie drogi, roztwarła się przed ich oczyma długa kamienista dolina, która sięgała hen do owych ochronnych murów. Jerko utkwił oczy w owe wrota obok muru, wypatrując, czy kogo nie zauważy, czy się kto nie pojawi.

Oko gajowego czepiło się zaraz jakiejś dziwnej czarnej kupy między kamieniami w dolinie o jakieś pięćdziesiąt kroków od muru. Przeszły go zimne ciarki po całym ciele.

— Mówisz, że z jednym koniem poszła na przyprząg? — zapytał Jerka.

— Tak — odparł, nie odwracając oczu od owych wrót.

— Tak, to oni ... — pomyślał gajowy a koło serca chwycił go jakiś ból i smutek ... — Tak jest, tak jest ... — mówił sam do siebie, wypatrując nieustannie.

— A tam co?! — rzekł najpierw Szymonów Ive, spostrzegłszy ową czarną kupę.

— Gdzie? — pyta Jerko.

— O, patrz, tam, tam pod murem.

— To nic nie jest — odrzekł gajowy, próbując bagatelizować. Ciężko mu to przychodziło.

— Coś tam jest! — powtórzył Ive.

— Ja nic nie widzę — odezwał się Antek, patrząc w tym samym kierunku.

— Krzak — rzecze Jerko, patrząc nieustannie na drogę.

Gajowy milczał.

— Jest ... — pomyślał gajowy i spojrzał na Jerka.

— Sam Bóg wie, dlaczego jej jeszcze nie ma — westchnął Jerko.

— Przeciw woli Bożej nic nie możesz. Jakie jego święte postanowienie, tak też będzie.

— E, mój Szczepanie, ciężko biednej matce i ojcu.

— Cóż robić, cóż robić, mój bracie! Co Bóg dał, to może i zabrać, a nasza rzecz słuchać i znosić. A może da Bóg nic się jej nie stało.

— Ej, nie, Szczepanie! Już jej nigdy nie zobaczę! — rzecze Jerko i przymknął oczy, by mu łzy nie pociekły.

— O! — podjął po chwili — tam coś jest! — i zapatrzył się tam pod mur.

— Pewnie znowu nic — zauważył gajowy cicho.

— Jest!... O, ja nieszczęsny...

Im byli bliżej, tym wyraźniej było widać.

— Jest. Mówiłem przecież... — rzecze Ive.

— E, pewnie znowu nic.

— Jest! O Matko Boża ...

W całej okolicy nie było nigdzie ni żywej duszy. Gdy tylko nastanie jesień, dalmaccy pasterze spędzają bydło z gór i cały ten kraj zostaje pusty i próżny aż do wiosny. Tak i teraz. Z tego powodu było im jeszcze bardziej ciężko na duszy i niemiło.

Wszyscy milczeli jak cienie.

— Widzicie ... — wymówił Jerko, aby coś rzec, lecz łzy zdławiły mu głos w gardle.

— Może to nie ona — rzecze gajowy. — Bóg wie co to jest.

— To ona, to ona ... — O, Matko Boża ...

Jerko zatrzymał konie, wszyscy zeszli z wozu i poszli w dół. Sam szedł pierwszy. Nogi drżały pod nim. Towarzyszy ogarnął lęk i głębokie współczucie.

Gdy się zbliżyli podniosło się stado gawronów i odleciało w stronę Velebitu.

— Dziecko moje! — krzyknął Jerko jak dziecko lub słaba kobieta i upadł na martwe zniekształcone ciało.

Wszystkim stanęły łzy w oczach. Uklękli na twardym, zimnym kamieniu, zasłonili twarze rękoma i modlili się, a po kościach przechodził im strach i zgroza.

Jerko głośno płakał i lamentował.

Widok był okropny.

Między kamieniami leżała Marysia cała potłuczona i porozbijana, trzymając się obu rącz szyi konia, który leżał nieco niżej od niej. Była cała sina i skostniała, z twarzą potłuczoną i porozdzieraną, że nie został ani drobny ślad tego wspaniałego zdrowia, pulchności i piękności. I u niej i u konia oczy były wydziobane, członki potargane i wyszarpane, wnętrzności były na wierzchu i częścią wyjedzone, częścią rozwleczone koło zwłok, od których rozchodził się duszący odór.



Rys. Jachimczak

Gajowy powstał pierwszy i otarł oczy.

— Boża wola — rzekł cicho — i nie ma żadnej rady . . .

Powoli podniósł się i Jerko. Łzy same mu ciekły po twarzy.

— Chwała Stworzycielowi — westchnął i nachylił się z powrotem, aby pozbierać porozrzucane części ciała swego dziecka.

Drżał cały jak w gorączce.

VI.

Około południa Kata była jak szalona. Poddała się całkiem rozpaczy i cierpieniu. Straciła wszelką nadzieję i poczęła szaleć, załamywać ręce, rwać włosy z głowy.

Wieśniacy przychodzili do niej jak ku trumnie. Niektóre kobiety nie opuszczały jej ciągle, aby ją uspokajać i pocieszać, ale wnet same zaczęły też płakać.

Kata opanowywała się czasem, aby nadsłuchiwać czy nie słychać brzęku uprzęży. Gdy nic nie dosłyszała, wybuchała jeszcze głośniejszym płaczem, a wnet po południu wstała i chciała iść naprzeciw. Ledwo ją mężczyźni i kobiety zatrzymali i odwiedli od tego zamiaru. Zrozpaczona zupełnie, padła na ziemię i tępo wpatrywała się przed siebie, targając trawę. Już nawet nie płakała i nie lamentowała. Na zapytania nie odpowiadała, a pocieszenia nie robiły na niej wrażenia.

Ku wieczorowi przybiegła jakaś kobieta z górnej wsi i wystraszona szepnęła stryjnie Maszy, że Jerko jedzie i wiezie martwą Marysię. Zabiła ją burza a wilki poszarpały : . .

Masza o mało nie zemdlała i chciała to szepnąć drugiej, lecz słowa ugrzęzły jej w gardle, a łzy zalały jej twarz.

Wtem z drugiego końca wsi odezwał się powolny i głuchy turkot wozu. Kata zerwała się spojrzała, jęknęła i chciała wybiec naprzeciw. Kobiety ledwo ją chwyciły i z ciężkim trudem zatrzymały.

— Puśćcie mnie załosną do grobu,

Puśćcie mnie, drzewo obrąbane,

Niech wypłaczę i serce i oczy! . . . — zalamentowała Kata i poczęła się zrywać, a gdy się nie mogła wyrwać, rzuciła się na ziemię i leżała na niej jak martwa. Piersi jej podnosiły się wysoko i opadały, usta otwarły się szeroko, a oczy zamknęły.

Wóz jechał powoli. Brązowe brzękadełka zdjęli z koni jeszcze na Halanie. Na wozie leżały resztki ciała Marysi, nakryte Jerkową sukmaną, a obok wozu szło ich trzech i gajowy — wszyscy z odkrytymi głowami. Ludzie zbierali się koło wozu i patrzyli jak na dziw. Wielu płakało, a kobiety zawodziły lamentacje.

Jerko stąpał przy wozie jak zdrętwiały i ogłupiały . . .

— — — — — — — — — —

Bez Marysi dom był pusty juk wyludniony. Unosiły się w nim tylko żale i bolesne narzekania Katy. Jerko sam codziennie wypędzał bydło na Velebit. Całymi dniami zapatrywał się przed siebie i modlił się. Jadł mało, a nie mówił nic.

Tak samo i Kata. Gdy tylko spotykały się ich spojrzenia, zalewali się gorzkimi łzami. Oto ich córka, — wola Boża — a syn dawno już poszedł w świat i teraz zostali sami jak ścięte drzewo, jak obalony pień bez życia. Kata płakała dniami i nocami.

— Daj spokój, Kato! — pocieszał ją Jerko.

— O, ja nieszczęsna do samego grobu! . . .

— Nie jesteś nieszczęsna . . . Niech się dzieje wola Boża . . . — mawiał zwykle i uciekał z domu, by na nią nie patrzeć.

Pewnego dnia siedział Jerko przy ognisku obok drogi i grzał się. Bydło rozeszło się po zaroślach i pasło się. Koło niego kręcił się pies i szczekał, ile razy nie podobał mu się szelest krzaków. Ale i to szczekanie było ponure i niewesołe. I pies też rozbolał się za Marysią jak rozumne stworzenie.

Jerko zapadł głęboko w ciężkie myśli, więc nie słyszał nawet, że woźnice zbliżają się, aż stryk Ive zatrzymał konie obok niego.

— Pochwalony Jezus Chrystus, pobratymie! — pozdrowił Ive.

— Na wieki wieków! — odparł Jerko.

— Słyszeliśmy, bracie — rzecze Ive — słyszeliśmy jeszcze w Obrovcu . . .

— A no . . — szepnął Jerko i wzruszył ramionami.

Inni woźnice skupili się też koło nich, pozdrawiając Jerka.

— Żeby mnie i do dziewiątego pokolenia czarci zarazili — mówił dalej Ive — jeśli nie wolałbym żebym sam był zginął razem z obu moimi końmi, niż żeby się tak stało . . .

— A no, moi ludzie, Boża wola — wyszeptał Jerko.

— O, ja nieszczęsny, com ja zrobił! — westchnął Luka do siebie i łzy stanęły mu w oczach. Otarłszy je pokryjomu, podszedł bliżej do Jerka.

— Wybaczcie, stryku! — rzecze. — Nie jestem winien. Ale zapłacę wam wszystko, co ludzie powiedzą, że słuszne . . .

— Nie! — odparł Jerko. — Cóżeś winien?! . . . Ludzie dawali ludziom przyprząg od dawien dawna. Więc . . . cóż jesteś winien?!

— Zrządzenie Boże — powtórzył stary Jerko i zacisnął oczy, aby w obecności ludzi nie pociekły mu łzy.

CIEKAWOSTKI

O słynnej a mądrej przyjaciółce Goethego, mówiono złośliwie, że „Frau v. Stein war nicht von Stein".

•

Zamiast naszego pożegnania „dowidzenia", Chińczyk żegna gościa swego słowami: „Idź powoli, idź powoli".

•

Ceremonial małżeński u nawróconych na katolicyzm Chińczyków jest bardzo oryginalny. — Każde z oblubieńców wchodzi przeciwnymi drzwiami w kościele, aby unikając spojrzeń na siebie, spotkać się u stóp ołtarza.

Przy wygłaszaniu zgody na zawarcie małżeństwa, skromność przyszłej małżonki taksuje się według tego, ile razy ksiądz musi się jej zapytać, czy zgadza się być żoną partnera, z którym klęczy.

Odpowiedź „tak" za pierwszym zaraz razem dowodzi nieprzyzwoitości.

•

Najstarszy ślad pocałunku jest z raju, — gdy Adam dojrzał na ustach śpiącej Ewy miód złożony przez pszczołę, a zjadłszy go przekonał się, że usta są równie słodkie.

•

Niewielu wie, że ptak zimorodek ma nazwę od tego, że buduje gniazda w ziemi, a nie, że rodzi się w zimie.

•

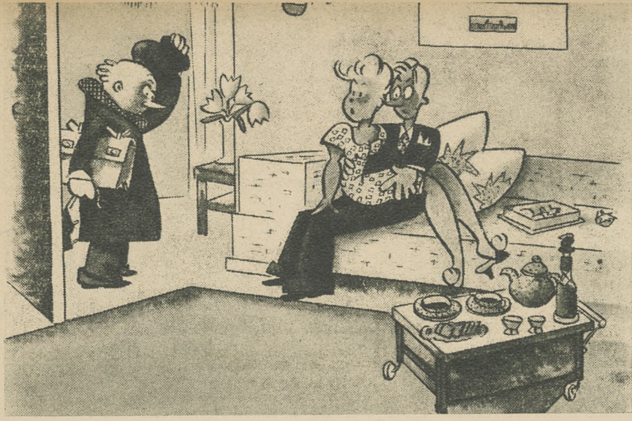
Pieczarki po borowiku i przed truflami stanowią najcenniejszy rodzaj grzybów, tym bardziej, że hodowle ich mogą być prowadzone w specjalnych warunkach przez cały rok, i z tego względu stanowią wśród grzybów unikat, jak np. truskawki w grudniu.

•

Wskutek mielizn na rzece Dziśnie jeździ się po niej t. zw. „Duszegubką". Jest to wywracające się czółno, z łańcuchami po boku, przy pomocy których holują chłopcy łódkę z pasażerem na kształt burłaków.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Pilsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE



Mąż: — Wybacz, kochanie, znów zapomniałem wysłać telegram, że wracam. (Die Post)

Jerzy zwierza się swemu przyjacielowi: — Gram obecnie na loterii, gdy wygram znaczniejszą kwotę, będę mógł ożenić się.
— A jeżeli przegrasz?
— Wtedy będę musiał się ożenić.

•

W drogerii: — Czy ma pan coś przeciwko siwym włosom?
— O, nic, prócz najgłębszego szacunku.

•

— Z początku uważałam go za oazę na pustyni mego życia.
— A dziś?
— Dziś muszę stwierdzić, że jest on pustynią dokola oazy mego życia.



Wnuczek: — Dziadziu, proszę cię bardzo pomóż swemu synowi przy rozwiązywaniu mego zadania. (Die Kurelle)

— Tatku! Dlaczego narzeczeni podają sobie ręce przed ołtarzem?

— To jest tylko czysta formalność mój chłopcze, podobnie jak u bokserów, którzy przed zapasami podają sobie dłonie.

•

— Wyobraź sobie, Elu, Henryk dziś oświadczył, że musimy się rozstać, gdyż nie ożeni się ze mną.

— Co ci na nim zależy — pociesza przyjaciółka — narzeczonego, który nie będzie się chciał z tobą ożenić zawsze jeszcze znajdziesz.

•

— Przepraszam panią! Zauważyłem, że ten pan naprzeciwko, wciąż ordynarnie patrzy na panią. Czy mam mu nagadać?

— O nie. Dziękuję panu, to jest mój mąż.

— Pani mąż?

— Tak. On jest krótkowzroczny i bierze mnie za kogo innego.

•

Pan Ignacy wzywa przez telefon lekarza do swej chorej żony.

— Na co najwięcej uskarża się pańska żona? — pyta się lekarz.

Pan Ignacy pokrząkuje: — Powiem panu otwarcie, doktorze, — na mnie.

— Co, taki nieogolony chcesz ze mną wyjść na spacer?
— Ależ kochanie, przecież na dworze jest już całkiem ciemno.
— Właśnie dlatego.

•

— Od dziś już należysz do mnie całkowicie, moja Julciu.
— Dlaczego mężusiu?
— Dziś zapłaciłem ostatnią ratę pośrednikowi małżeństw.

•

— Moja żona ma w nowej sztuce bardzo ciężką rolę.
— Przecież jej rola jest niema!
— Właśnie dlatego. To sprawia jej największą trudność.

•

Córka opowiada: — Mój nowy przyjaciel jest ogrodnikiem.
Przebiegła matka zapytuje: — A jaki ma ogród? warzywny, czy kwiatowy?



Mąż: — Co za wspaniałą koloraturę ma ta śpiewaczka.
Żona: — Powinieneś raczej na jej śpiew zwracać uwagę, Karolu. (Die Post)

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY NR 9 (30)

pod redakcją mistrza Europy i świata dra **A. Aljechina**

Problem Nr 7

S. Loyd (1867)

Czarne: Kh1, Wc8, Gd8, Sa8, piony: a3, b6, b7, e3, f7, h7 (10)

Białe: Kh5, Wb5 i e2, Sa1 i h3, piony: b2, c2, g3 (8)

Mat w pięciu posunięciach.

Rozwiązanie problemu Nr 6: 1. Sd5—e7!

Partią Nr 101 (103)

Białe: Barcza — Czarne: Stoltz

grana w turnieju o mistrzostwo Europy w Monachium w r. 1942.

Królewsko-indyjska w zaczęciu.

1. Sg1—f3 d7—d5	26. Sa3×c4 Sb6×c4
2. g2—g3 Sg8—f6	27. Wd2×d3 Wd8×d3
3. Gf1—g2 Sb8—d7 [1])	28. Wd1×d3 Gc8—e6
4. d2—d4 g7—g6	29. b2—b3 [8]) Sc4—b2!
5. 0—0 Gf8—g7	30. Wd3—d8 Kg8—g7
6. Gc1—f4 0—0	31. f3—f4 Wa5×a2
7. Hd1-c1! Wf8-e8 [2])	32. Sf1—d2 Wa2—a1
8. c2—c4! c7—c6	33. Kg1—f2 Wa1—d1
9. c4×d5 Sf6×d5	34. Gg2—f3 Wd1—c1
10. Gf4—h6 Gg7—h8	35. e4—e5 b7—b5
11. Sb1—d2 [3]) e7—e5	36. Sd2—e4 Wc1—c2
12. e2—e4 Sd5—b6	37. Kf2—e1 a7—a5
13. Gh6—g5 Gh8—f6	38. Se4—f6 [9]) Wc2—c8 [10])
14. Gg5×f6 Hd8×f6	39. Wd8—d2! Wc8—c3
15. Hc1—c3 e5×d4	40. Gf3—e2 Wc3×b3
16. Hc3×d4 Hf6×d4	41. g3—g4! [11]) Ge6×g4
17. Sf3×d4 Sd7—e5 [4])	42. Sf6×g4 a5—a4
18. Wf1—d1 Gc8—g4	43. Wd2—d7! Wb3—b4?! [12])
19. f2—f3 Wa8—d8	44. e5—e6 Wb4×f4
20. Sd2—f1 Gg4—c8	45. Ke1—d2! Sb2—c4
21. Wa1—c1 c6—c5 [5])	46. Ge2×c4 b5×c4
22. Sd4—b5 [6]) Se5—d3	47. e6—e7 Wf4—e4
23. Wc1—c2 c5—c4	48. Sg4—e3! c4—c3
24. Wc2—d2 [7]) We8—e5	49. Kd2—d3 We4—e5
25. Sb5—a3 We5—a5	50. Se3—c4
	Czarne poddały się.

Uwagi:

[1]) Zamknięcie gońca hetmańskiego jest nieuzasadnione. Lepszym było: 7 . . . G—f5.

[2]) Tutaj więcej widoków dawało: 7 . . . c5.

[3]) Po tym ruchu czarne oswobadzają się i uzyskują równorzędną grę. Grając: 11. e4 S—f6 12. S—c3 białe mogłyby utrzymać silną przewagę terenową.

[4]) Dzięki temu posunięciu uzyskują czarne inicjatywę. Jednak pomimo usiłowań nie udaje się im, wskutek starannej obrony przeciwnika zapewnić sobie rozstrzygającej przewagi.

[5]) Jeśli inaczej, nastąpiłoby: 14. poczem e5 itd.

[6]) Oczywiście nie 22. W×c5? gdyż nastąpiłoby 22 . . . S—c6.

[7]) Grozi 25. b3.

[8]) Także i po innych ruchach białe musiały stracić piona na skrzydle hetmana.

[9]) Grozi: 39. W—g8 K—h6 40. g4 S—d3 41. K—d1 itd.

[10]) Czarne zamierzają ofiarę figury, która w najlepszym razie doprowadzić mogłaby do remis. Prostszym byłoby dlatego już teraz grając 38 . . . h5 wymusić ten wynik.

[11]) Grozi: 42. W—d8 G×g4 43. W—g8 K—h6 44. S×g4 K—h5 45. W—h8 poczem mat. Czarne muszą z tego powodu od razu oddać figurę.

[12]) Po 43 . . . a3 44. e6 a2 47. W×f7 K—h8 musiałyby się białe zadowolić wiecznym szachem. Posunięcie w partii przegrywa.



DRWALE

Nadesłał p. Podsiadły Jerzy z Warszawy.



WIEJSKIE PRACZKI

Wykonał p. Jańczak Józef z Gór k/Markuszowa.

UWAGA! FOTOAMATORZY!

Rozwiązanie V-tego konkursu

Każdy konkurs zbliża nas bardziej do wielkiej rodziny naszych P. T. Czytelników. Z licznie otrzymanych odpowiedzi poznajemy ich zainteresowania, temperamenty, życzenia. Staramy się znaleźć takie tematy do konkursów, w których by mógł każdy czytelnik bez względu na wiek, wykształcenie czy zawód, wypróbować swoje siły i zdolności. Ostatni konkurs znów był tego dowodem. Wprawdzie, niektórzy z uczestników konkursu, może z wrodzonej skromności uważali, że ich prace nie są „na właściwym poziomie literackim", odpowiedzi wykazały jednak co innego. Nie dla literatów był konkurs, ale dla wszystkich ludzi, którzy mogą się poszczycić choćby odrobiną serca, bo słowa i myśli naszej „Illony", jak ją dziwnym zbiegiem okoliczności nazwało kilku uczestników konkursu, miały być podyktowane przez serce.

Mamy tę satysfakcję, że większa część odpowiedzi, choć w wyniku nie zawsze zgodna z wytycznymi jury, była nader ciekawie, różnorodnie i pracowicie wykonana.

Zasadniczy błąd polegał na tym, że wielu czytelników śledziło rodzący się flirt „Illony" z grajkiem, a nie zauważyło w jej oczach śladu tęsknych wspomnień o najdroższym, znajdującym się gdzieś daleko. Tego rodzaju odpowiedzi, chociaż nieraz artystycznie wykonane, musieliśmy odrzucić.

Z poniżej zamieszczonych najlepszych prac Czytelnicy zorientują się co do treści rozwiązania, ustalonego przed ogłoszeniem konkursu przez redakcję, która ze swej strony gratuluje nagrodzonym, a nienagrodzonym życzy powodzenia w przyszłym konkursie.

NAGRODZENI

I. **nagrodę w kwocie 150 zł** otrzymał p. **Stafiej Władysław** — Rzeszów.

II. **nagrodę w kwocie 100 zł** otrzymała p. **Gębska Irena** — Tarnów.

III. **nagrodę w kwocie 50 zł** otrzymała p. **Szcześniakówna Irena** — Warszawa.

Nagrody pocieszenia po 10 zł otrzymali:

I. p. **Bronisław Król** — Lwów — za piękną formę rozwiązania.

II. p. **Mokrzycka Maria** — Tarnopol — za pomysłowe rozwiązanie.

III. p. **Prawdziak Tadeusz** — Rzeszów — za wierszowane rozwiązanie.

IV. p. **Szajdek Tadeusz** — Rzeszów — za ładną formę rozwiązania.

V. p. **Jacyniakówna Zofia** — Warszawa — za prawidłowe rozwiązanie.

VI. p. **Findysz Konrad Józef** — Kraków — za wierszowane rozwiązanie.

VII. p. **Michalczak Zygmunt** — Nałęczów — za ładną formę rozwiązania.

VIII. p. **Dziewulska Urszula** — Warszawa-Praga — za prawidłowe rozwiązanie.

IX. p. **Ogrodnik Jan** — Kielce — za prawidłowe rozwiązanie.

X. p. **Daniela Kowalik** — Warszawa — za prawidłowe rozwiązanie.



„TAK MI DZIŚ SMUTNO, PIERWSZE TONY MUZYKI OBUDZIŁY DAWNO UŚPIONE WSPOMNIENIA"

WYJĄTKI Z ROZWIĄZANIA NADESŁANEGO PRZEZ P. WŁADYSŁAWA STAFIEJA Z RZESZOWA

Płyną wieczorne godziny — — —

W kawiarni — w tym, — — kagańcem towarzyskiego
konwenansu ujarzmionych ludzkich aspiracji,
namiętności i tęsknot — — przytułku — ulu — — —
rojnie.

— — — — Wchodzących nóg —
— — stłumiony stukot,
— prowadzonych rozmów —
przyciszony gwar.

*

Zaś węgierskiej rapsodii — —
przez cygańską kapelę — —
grana melodia — —
smętnie rozkołebała się nad tłumem kawiarnianych
codziennych gości — — —
— — — — niesie się czarem madziarskiej „pusty",
— — — łka dalekiem przesurzeni tęsknotą,
— — dygoce czardasza czarem
— i kipi
węgrzyna stuletnią krwią — — —

A czarodziej tonów, skrzypek, — — —
postanowił znów z lokalowego pospólstwa
czyjeś smutne wyłowić serce — — —
Wnurtować się skrzypcową piosenką
w tego serca przepaśne tajemnice — — —
i w zwoje skrzypiec swych duszy
wchłonąć czyjejś miłosnej tęsknoty
— — — — opowieść — legendę — —
i tajemnie ciche szeptanie.

— — — — Znalazł — — —

Przy ustronnym stoliku siedziała samotna pani.
— — — — Zadumana.
Nawet perlisty, w kryształowym pucharze,
szampan nie nęcił jej zamyślonych oczu,
— — — — ni słodkie ciasta
— — rozwarły
— ust,
zszytych ściegiem tajemnicy
zaciętego milczenia.

Jeno orchidea bliźniaczo kłoniła
białe swe płatki
ku dłoniom białym samotnej.

*

Do pani tej ciągnęła grajka jego skrzypiec roztęskniona piosenka — —
Jej to śpieszyły grać chybkie palce
i skoczny smyczek wirtuoza.

„— — Pani!
— znam tajemnicę źrenic twych — — — —
i widzę ukrytą treść
milczenia twoich ust" — — —

— — — szeptały skrzypki:

my, cyganie, — —
nie tylko z pogmatwanych gzygzaków
dłoni umiemy wyczytać ludzkiego
życia koleiny — — —
lecz i skrzypiec naszych
pokuśnym kwileniem
potrafim
zakołatać
w człeczych serc
tajemnice —
tęsknoty
marzenia
i sny.



„SŁYSZĘ CICHY TURKOT KÓŁ ODDALAJĄCYCH MNIE OD NIEGO"

Dziś, tobie, smutna pani — — —
ja, by najwierniejszy giermek — pacholę
moje nastroję gęśliki — — —
— — — — — wyśpiewamć — — —
— — co melodia ma
— oczyma duszy swej
zakwefionymi
źrenicami twoich oczu.

Widzę, że i kryształowy szampańskiego wina roztruchan
z oczekującym zaciekawieniem podajesz ustom twym.

*

Posłuchaj skrzypek przywidnej spowiedzi — — —

— — — na dziewiczo jasnej drożynie
— — życia swego
— spotkałaś
mężczyznę.

Ukochanym kształtem
zastąpił ci drogę.

I w dziki jasyr — —
władnie pojmał
serce i duszę twoje.

Nie tam białą dłonią egzotycznej orchidei
śnieżnego kwiecia.

*

Nie zwiedziesz cygana.
Wiem.
Nie było inaczej — — — —

— — — — żywą — z dawien przez ciebie chcianej,
— — — miłości męską sylwetką
— — zapadł ci on,
— niby promienny słońca dysk — —
w rozpadliny
i najmroczniejsze szczeliny
serca i duszy.

Rozkochał w sobie
na życie i śmierć.
Na zawdy.

Lecz — — — okrutne — —
przez was obojga niezawinione
zdarzeń zaploty
i dziejów wichura — — —
— — — to ucieleśnione marzenie
porwały od boku twojego.

Słyszysz — — jak skrzypka łka — —
— — lękliwą piosnką cała drży? — —

a bracia moi w cygańskiej kapeli
wzajemnej inspiracji
solidarnym wtórem
współczują
i idą
za melodią mą.

*

Jeden z pradziadów — stary — wyskiejał skrzypce te
— cygan.
Z lipowego wydłubał drzewa.

— — — — a z takiej lipy,
— — — co kędyś — wiosną —
— — nad czarnym jeziorzyskiem
— młodymi liśćmi szumiała . . .

i kąpała się
w księżycowych smugach
wielu świętojańskich nocy . . .

kolorowych liści agonią
w jesieni płakała . . .

zaś białą zimą — — —
na czarnych jej ramion
gałęziach — strunach — —
mrozem oszalałe wichrzysko
grało swej tułaczej doli rapsodię . . .



„CZY ON SOBIE ZA DUŻO NIE POZWALA?"

Usklejał je — — —
i w duszę ich — — — nam wiadomymi znachorskimi czary,
wekiął wszystkiej cyganów doli — niedoli dzieje — —

— — — i bezdomnie tułaczej włóczęgi uroki
— — a kobiet naszych
— bezbrzeżną serc
za nigdy niesytym kochaniem
romantyczną tęsknicę.

— — — i ponurych rywalów
— — o cyganek serca
— — na noże — —
krwawe zapasy
śmiertelne turnieje.

Skrzypcowemu sercu nakazał,
by ludziom po wsze czasy
nuciło odwiecznej miłości pieśń — tęsknotę,

— — — — pieśń — cierpienie,
— — — pieśń — szał,
— — pieśń — cichego marzenia,
— i radosnego szczęścia
kołysankę.

*

Wróżbito — grajku!

Twoich to skrzypiec melodią
przejrzałeś nawskróś wszystkie
tajemnic moich pieczęcie.
Wyszarpałeś szew purpurowej tęsknoty serca
mojego.

Piję więc z tobą pospołu tę szampana krużę,
na twoją sławę i cześć — —
w szczerej podzięce
za twoich skrzypiec [illegible] piosenkę — — — —

augurze ty — —

grajku — cyganie!



„TRZEBA SIĘ UŚMIECHNĄĆ DO TEGO ŁADNEGO GRAJKA. Z PRZYJEMNOŚCIĄ ODKRYWAM PODOBIEŃSTWO DO NIEGO"

ROZWIĄZANIE NADESŁANE PRZEZ P. IRENĘ GĘBSKĄ

Nad schylonymi główkami tulipanów, chyli się zadumana, główka kobieca. Zaczarował je, zakiął, ton cygańskich skrzypeczek . . .

Illona splotła palce. O, Boże! Przecież tak bardzo pragnęła być dziś sama . . . Schroniła się tu do tej cichej kawiarni, aby jej nikt nie mógł znaleźć. A jednak znalazły ją wspomnienia. Te skrzypki . . . Raz w życiu tylko słyszała płacz taki żałosny i przejmujący, płacz zakochanych skrzypek. Ale tamte umarły już i nie odezwą się nigdy . . .

Rozśpiewały się głośniej skrzypce. Widocznie grajek ujrzał zadumę tęskną w oczach dziewczyny, bo pochylił się nad nią i sypnął kaskadą dźwięcznych, radosnych tonów, porywających życiem i młodością. To śmiech wiatru po szerokich pusztach węgierskich, szum traw rozchybotanych w słońcu i swobodzie . . . O, jakże dobrze zna to Illona, ona, dzikie dziecko puszty! Jakże często pędziła po tej bezkresnej, oszałamiającej przestrzeni chyląc rozwichrzone kędziory nad końską grzywą . . . Tak dobrze znała każdy blask słońca na puszystej trawie, każdy szmer opadającej rosy, szept krzewów i szum wichru w uszach. Coraz żywiej, coraz wyraźniej zarysowują się przed nią te wspomnienia dzieciństwa, bujnej swobody i młodości. Obudziły je czarodziejskie skrzypki. Obudziły, a przecież ona tak pragnęła zapomnieć . . .

W kieliszku perli się złoty szampan. Illona bezwiednie podnosi go do warg. Ale rozchylone zadumą usta i rozmarzone oczy zdają się nie dostrzegać tego. Bo oto rozsnuwa się wokół niej cicho stara ludowa piosenka węgierska. Ta sama, dawna, ulubiona, rzewna, ta, która przykuła jej uwagę wtedy na dzikich, rodzinnych stepach.

Był taki cudny, rozsrebrzony księżycem wieczór . . . Illona wsiadała właśnie na swego karego Czarta, by ruszyć w dal, przed siebie, z wiatrem w zawody. I nagle uszu jej doleciała żałosna skarga skrzypek, melodia starej, zapomnianej piosenki z pierwszych lat dzieciństwa. U wrót zagrody stał młody chłopak cygański i grał. Illona zatrzymała konia i zmarszczyła gniewnie brwi.

— Sandor, ty znowu tutaj?

Lecz on w tej samej chwili wskoczył za nią na konia, jednym uderzeniem smyczka zmuszając go do galopu. Koń rzucił się naprzód w wiatr, przestrzeń i upojną noc letnią, jak strzała przelatując nad wysrebrzonymi trawami. Przed nimi na wzgórku zamajaczyła grupa drzew. Sandor osadził przy nich konia. Illona osunęła się na trawy i przytuliła rozwichrzoną główkę do pnia. Cygan stał przed nią i jego smukła, młodzieńcza sylwetka wyraźnie odcinała się na tle gwiaździstego nieba.

— Illono, posłuchaj mię, posłuchaj raz bez wzgardy i sprzeciwu. Przecież ty na pewno rozumiesz mnie, widzisz moją miłość. Ja nie umiem mówić, nie potrafię, może lepiej powiedzą ci to moje skrzypce. Zrozum je, Illono.

I popłynęła cicha, tęskna melodia, nieśmiała jak pierwsze drgnienie młodego serca. Wczarował w nie całą swą duszę, całe uczucie pierwszej, gorącej miłości. Zapłakały skrzypki z nadmiaru kochania, zadźwięczały promykiem zbudzonej nadziei. I powiedziały o tych wszystkich nocach nieprzespanych, o złotych świtach, które witał z imieniem jej na ustach.



„RĘCE MOJE DOTYKAJĄ AKSAMITNEJ SKÓRKI KWIATU. TAK NIEGDYŚ PIEŚCIŁAM JEGO KOCHANĄ TWARZ. MUZYKA JEDNAK NIE POZWALA MI SIĘ SMUCIĆ"

I zaśpiewały o szczęściu dwojga młodych serc wśród dzikich stepów puszty węgierskiej . . .

Illona słuchała z rozchylonymi ustami i wilgotnymi oczyma. Głowa cygana pochyliła się nad nią nisko. W jego smagłej twarzy ogromne, czarne oczy lśniły jakimś niezwykłym blaskiem. Czy to księżyc rzucił w nie garść srebrnych promieni, czy rozpalił je złotem ogień miłości? . . .

— Nie dam ci dużo — szeptały jego wargi — ani złota, ani klejnotów, ale dam ci swobodę i to, co sama kochasz, pusztę, wiatr, słońce, jasne noce i szczęście. Będziemy zawsze razem, tyś dziki ptak, tobie wolności trzeba, a nie klatki, choćby złotej.

Umilkły skrzypki . . . I nagle na usta Illony spadł gorący, szalony pocałunek, pierwszy pocałunek w jej życiu. Zatrzepotało spłoszone serduszko i myśl dziwna zaświtała w dziewczęcej główce, by przytulić mocno tę bujną czuprynę, ucałować cudne, aksamitne rzęsy . . . Lecz w mgnieniu oka przyszła refleksja. Jak to, ona taka harda i nie ustępliwa ma dać się opanować uczuciu, tym oczom czarnym i skrzypkom śpiewającym?! Nie! Wyrwała się z ramion Sandora i odskoczyła w tył.

— Jak śmiesz?! Jak mogłeś?! Ja nie chcę ciebie!

Zerwał się cygan również, blady, z drżącymi wargami.

— Dobrze, Illono, lecz pamiętaj — nie wrócę już nigdy! I nigdy już nie zagrają moje skrzypki. Nikt ich słyszeć nie będzie. To była ich ostatnia pieśń, pieśń miłości i pożegnania.

Porwał leżące skrzypce i rozbił o pień drzewa. Jęknęły struny ostatnim krótkim szlochem i umilkły . . . na zawsze. Tylko w powietrzu długo jeszcze drżało echo cichutkiej skargi . . . Przez srebrzyste trawy w jasnej poświacie księżyca odchodził cygan, odchodził, by nie powrócić już nigdy.

A teraz te drugie skrzypki grają i wspominają tamte . . . umarłe . . .

Illona westchnęła i delikatnie przysunęła ku sobie główkę tulipana. Och, jak bardzo pragnęłaby przysunąć tamtą, czarnowłosą głowę, przytulić, zawrócić ze srebrnej drogi, w którą odszedł . . . bez powrotu . . . Już tyle lat minęło od tej chwili, tyle miast poznała, tyle ludzi, a jednak nikt nie potrafił przesłonić tego wspomnienia pierwszej, wiosennej młodości.

— Dlaczego smutna piękna panienka? — spłynął szept grajka wśród cichej melodii. Podniosła ku niemu oczy, wielkie, trochę nieufne i usta, z żałośnie opuszczonymi w dół kącikami. W podniesionej dłoni drżał zapomniany, wygasły papieros . . . Grajek zrozumiał . . .

I nagle spod smyczka jego trysnęła gama skocznych tonów, szalony, porywający czardasz węgierski, taki, co każe zapominać o wszystkich troskach i roznieca w duszy uśmiech wesela. Wreszcie i ją porwała zaraźliwa radość, zdmuchnęła z jej myśli wspomnienia przeszłości. Podniosła do ust ciastko i zwróciła ku muzykowi rozjaśnioną uśmiechem twarzyczkę. Uśmiechnął się również i zakończył czardasza ostatnią dźwięczną kaskadą tonów.

— Wypijmy na cześć młodości, czardasza i . . . miłości.

Perli się złoty szampan we wzniesionych w górę kieliszkach, lśnią roziskrzone, wpatrzone w siebie oczy . . . Kto wie? Może te skrzypki zastąpią tamte, cygańskie, sprzed lat i rozdźwięczą się w duszy Illony wiecznym akordem szczęścia? . . .



„DZIĘKUJĘ PANU! GRA PAN CUDOWNIE I DZIĘKI PAŃSKIEJ MUZYCE ODSUNĘŁAM SMUTNE MYŚLI. WYPIJMY ZA MOJE I PANA SPEŁNIENIE ŻYCZEŃ!"

Z rozwiązania nadesłanego przez p. Szcześniakównę Irenę z Warszawy

Ryś: P. P—M.

Fot. Wilczyński i Peters



W dzień „Gromnicznej"

Rys. Witold Tadeusz